

Marja L. Krüger

ASYGORAŁCE

Reportaż z „Pogotowia opiekuńczego dla dzieci“

BUTY

Kolonja Staszica. Wawelska 1. Furtka drewniana i ogródek. Stara willa „daczka“ i szyl: „Pogotowie opiekuńcze dla dzieci“.

W ogródku grządkę z wysuwającymi się z ziemi listkami „irysów.“ W powietrzu lata piłka. „Dwa ognie“ — to taka gra. Trudno jest biegać i łapać piłkę, kiedy się ma na nogach ciężkie buty z cholewami.

— Panie dyrektorze, proszę o buty! Nowe buty!

Buty to piękna rzecz. Skrzypią elegancko. Ile takie buty kosztują? Dużo. Można je ściągnąć jakiemu chłopakowi. Można w swoich, nowych, zwać.

— Nie teraz nie dostaniesz. Jak będziesz, bracie, dłużej, to ci dadzą.

Dłużej? To znaczy spać w łóżku i jeść. Porządnie, dużo. Ale jest taka knajpa na Nowogrodzkiej, gdzie schodzą się chłopaki. Kulas, jego brat, Stasiek Bulej i Borszczak. Tam też się je. Dobrze się je. Kiedy jest forsą.

— Skąd forsą?

Wygrana. Najwięcej wygrywa Kulas. Wszystkich ogra.

— Niech ze mną nie gra, jak nie umieją. Grał taki jeden wielki. I przegrał. A wczoraj był taki żudek. Pokurecz, szczeniaku. „Bez raczki“ — tak się nazywa.

Grał z Kulaskiem „pod łapkę“. Orzeł — reszka. Przegrał trzy i pół złotego i za to dał szmaty. Nowe porządne szmaty. Koszule, kurtkę i jeden but. Potem drugi raz przegrał. W oczko. Przy gorących asach.

— Wszystkie same szły pod rękę — Kulas mruga. I w policzkach robią mu się dołki.

Kulas wygrał dla brata. Spodnie i koszulę. Niebieską. Ile kulas ma lat? Trzy. Brat jest starszy. O rok. Ale nie taki cwaniak. Przez niego była wpadka. Policjanta nie dopatrzył i posterunkowy Kulas złapał. W Alejach Ujazdowskich.

— Dlaczego żebrałeś?

— Bo w oczko wyszło tylko cztery i pół złotego. Trzeba było jeszcze pół złotego. Tak musi być. Do kragiej piątki.

ZYLETKĄ...

Ciągle grać — nie udaje się. Trzeba stać na Brackiej, w Alejach, na Nowym Świecie i prosić. — Zimą, to z bosą nogą. Druga? — tramwaj odciać. — Wczoraj drzwiczki od taksówki otworzyć przed teatrem. W nocy, przed knajpą — wysiada pijany facet, — zyletką kieszeń przeciąć. — Dołeczki w policzkach Kulaska pogłębiają się. — To frajda. Potem jest życie. Do Miłosny hajda. Kolejka. Ma się swoją melinę. Tam Staska Buleja brat jest. Ożenił się, izbę ma. Łóżko na noc wynajmuje. Chyba z dziesięciu chłopaków na jedno. Za półtora złotego od chłopaka. Złodziej jest. Silny i zły. Jak chce, wszystko zabierze. Kulasa nie nabierze. — Pegegi mu nowe wzięłem. Za te półtora złotego, co sobie każe płacić. Złodziej silny — Do domu? Do matki? — zni. kają z policzków dołeczki. — Co ja tam bede robił. Matka ma na wychowaniu jeszcze dwoje.

Tak trzeba mówić. O matce jaknajsmutniej. Żeby było tak, jak w piosence z podwórka.

— Co matka robi?

— Dwieście pierogów dziennie smaży. Dwieście pierogów na Wołowie sprzedaje.

Co dalej? Z Kulasem i z kompanją? Felek ma dziewiętnaście lat, na czternaście wygląda. Był już rok temu, w Pogotowiu był. Może przez miesiąc. Potem — zobaczyl, ojciec za plotem szedł. Zateknął, zateknął do ojca.

Do bandy, do chłopaków przystał. Teraz od kompanji się odżegnawa. Może, zwyczajnie, taki jest, że chce jeść, spać pod dachem, jak wszyscy. A może tylko

tak, przed dyrektorem Pogotowia mówić. Do obozu letniego pójdzie. Skromniuszko oczy spuszcza. — Żeby przyjeł.

W „RAJZIE“

Ten drugi, Borkoszczak, co za Boryńskiego się podaje, teżby do obozu szedł. Tylko Kulasek nie. Gdzie będzie? Nigdzie. Nie chce. I pracować — za nic. Zimą też był w Pogotowiu. Lufcik otwarty — nogą na śnieg. Jak stał. W kurtce jedynej. Kulasek, co nazwisk lewych piętnaście ma. — I do węglarni, do kotłowni, na Główny. Tam — spać. W dzień — różnie. Żeby przedzej wiosna. I zaraz w rajzę. Z chłopakami albo sam. Lepiej sam. Prędko, prędko po drabince, co jest z boku wagonu. Na dach, koło harmonijki. Położyć się! Albo do „psika“. Do środka towarowego. — Są klatki na psy. Włazić. Na czworakach. Kłaseć się. Ciasno. Chyba ze szternastu. Bulki, kiełbasa, wódka, papierosy. Aż do Czechów. Na Morawską Ostrawę. — Po jakimś gadają? — Prawie, że po naszymu. Inaczej w Wiedniu. Tam Kulasy brat jeździł.

Cale lato — w rajzie. Do Poznania, do Katowic, Krakowa, Lwowa. Do bolszewików. Też. W Szepietówce — biała stacja. I Zdobunów. Na granicę. Słupy takie malowane. Można przejść. Dalej niema poci. — Zdychać tam bede z głodu? I mówić po jakimś? Więc tylko tak, żeby zobaczyć. I nazad. A potem znów w rajzę. Może sam, może z Józkiem.

Józek też w Pogotowiu bywał. Na pojedynczej kartce w potrójną linję, z zeszytu wydartej, napisał o sobie:

„Mój życiorys. Ja nie niewiem kedy ma rodzina. Ja pochodzę sam niewiem skąd, moja mama rajzuje, ja pochodzę z rodziny rajzerskiej, moja matka zajmuje się złodziejstwem ja oja nie pamiętam, teraz napisze o swojej podróży. po pierwsze jeździłem po wszystkich miastach, później byłem po wszystkich komisariach, wszędzie byłem a każdego fioduktora kopnelem a przedewszystkym kłanem, po wszystkich zakładach różne nazwiska zminalem, rajzerem miszczem to jestem, fiodrowiec z lewej renki, dalej nie wiem co sam zrobile, to jest rzecz dla siebie“.

DOPÓKI SIĘ NIE SPRYKRZY...

Razem z Józkiem przyprowadzi li i Władka. Już ma piętnaście lat. W Pogotowiu siedzi, nie ucieka. A bo mu źle? — Żeby napisał o sobie. A napisał, niech luś gdzie wiedzą: — „matka moja była z zwykłą robotnicą, ojciec był tramwajazem i niczle nam się powodziło. Rodzice moi posylali mnie do szkoły, ale ja nie chcialem się uczyć i ucieklem z domu, a już miałem 11 lat“. — Na końcu stoi: — „Jahym chciał być artystą“. Tak napisał w tym życiorysie. Artysta chce być. Na filmie. W Pogotowiu chłopakom głowy maszynką strzygą. — Za nic, za nie z łbem golonym chodzą. Jak wtedy do Brodzisza może być podobny? Ale w Pogotowiu dobrze. Do kina zabierają.

Niektóre chłopaki to tak siedzą w Pogotowiu. Na niby siedzą. Dopóki się nie sprykrzy. Zjeść dadzą. Spać można. Piłka jest — sportowa. I furtka od ogrodu nie zamknięta. Jest się, póki co. A potem? Niczyja rzecz. Co komu do tego? Ani mrumru. Antek o tem tak napisał:

— „W Krakowie poznałem Akule Mikolaja, czyli Kamińskiego Józefa. Pewnego dnia wybraliśmy się w rajzę. I przyjechalismy do Warszawy. W Warszawie pokłóci liśmy się i rozešliśmy. Mnie policjant przyprowadził do komisariatu piętnastego. W nocy przyprowadzili i Kamińskiego. Na drugi dzień przesłano nas do Pogotowia. Co mam dalej robić, to tajemnica moja“.

Tojennica — otwarta furtka w Pogotowiu. Za furtką — ulica i chłopaki i „asy gorące“, co same pod rękę włożą. Bramy, sie-

nie, klub chłopaków swoich przed Głównym dworcem albo w Alejach Ujazdowskich. I lewe przezwisko, i rajza.

A NIEKTÓRZY — TO INACZEJ

A znów niektórzy — to zupełnie inaczej. Wyjść z Pogotowia? Za furtkę. Tam? Gdzie brudy? Gdągany? O rany!

Zimno i twardo spać w sieni. Gnaty bola. Boli w dolku. Z głodu. Pasem przez łeb leją. Stawiasz się, szczeniaku?

Nie, nie, dziesięć razy albo tyśiąć razy nie! Tylko tu już zostać. Na tej Wawelskiej, pod pierwszym. — Dobrze, bracie. — Tak mówi dyrektor. I ubranie dadzą. Własne będzie. I buty. I czapkę.

A tu piłka leci. W górce. Skórzana. O rety!

Łapać ją, łapać. Stefan, najlepiej łapie. Śmieje się. Kiedy to się śmiał? Nie pamięta. — Chłopaki, nie dajcie piłki, — to nie tak, to nie tak było przedtem: — nie dajcie mnie, matka, bić. — I szturchnąć po gnatach... „matka była praczką, a ojciec robotnikiem w fabryce mebli i był pijakiem matka umarła w roku 1934, w Zwierzyńcu, ja musiałem pojechać, bo ojciec się upił i mnie bił... Ze Zwierzyńca pojechałem koleją na gapę w środku wagonu i zajęłem się sprzedawaniem gazetami, narzycie zarabiałem. Jeden posterunkowy zapytał mnie ile mam lat (11) i zaprowadził mnie tutaj“. W zeszyte Stefana tak było.

WYZNANIA DZIECI

W Pogotowiu nie biją. I obiad zawsze. Gotowany. Dosyć dla wszystkich. Gimnastyka w ogródku. Raz, dwa, trzy. Na książkę uczą. I pisać. Maniek — nową stałówną. — Chodziłeś do szkoły? — „do szkoły tatós nie posyłał ale lubił bardzo pić różne likery i wódkę... rano dotykałem tatósia i wolałem tatósia tato, ale nie, brat muwi że umarł ale ja jakim się o tem dowiedział, na schodach upadłem ze strachu i zemdlełem, ale gospodynin zauważyła i poszła do tatósia powie-

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYI KSIĘGARSKICH

BOBROWSKI J. prof.: Uprawa pasz z uwzględnieniem gospodarstw matorolnych. 8^o str. 45. Tarnów, 1933. Księgarnia Rolnicza. Zl. 0.75.

CIBOROWSKI TAD. ks.: Jedwabnictwo. Hodowla jedwabników i mowz z 136 rys. w tekście z przedmowa dr. J. Piłsnera. 8^o XVI, str. 299. Lwów, 1934. Księg. Unitas. Zl. 4.75.

DOBROWIEN BR.: Zagadnienie żydowskie. 8^o str. 58. Kraków, 1934. Skł. Księgarnia Krakowska. Zl. 1.

GASIOŁOWSKI W.: Orleca. Wybór wojskowych powieści napoleońskich. Wyd. 2-gie z rycin. 8^o str. 207. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zl. 4.50.

GLASER L. dr. i MOGILNICKI A. dr.: Prawo o wykroczeniach. Komentarz. Przepisy wprowadzające Tezy z orzeczeń Sądu Najwyższego. 8^o str. 120. Kraków, 1934. Księgarnia Powszechna, opr. Zl. 3.20.

GRABOWSKI I. Ks. dr. prof.: Zagadnienie małżeństwa. 8^o str. 158. Warszawa, 1934. Przegląd Katolicki. Zl. 3.

GUL R.: Czerwoni dowódcy. Wierszyływ. Budiennyj. Blücher. Kotowski. 8^o str. 275. Warszawa, 1934. „Rój“. Zl. 3.

JACKOWSKI A. prof.: O należnościach opiewających na dolary. 8^o str. 29. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zl. 1.

JACOBSON W. dr.: Z armii Klucka na Paryż. Pamiętnik lekarza-Polaka. 8^o str. 206. Toruń, 1934. Księg. św. Wojciecha. Zl. 3.

JANCZEWSKI L.: Spółka jawna w nowym kodeksie handlowym. 8^o str. 22. Warszawa, 1934. Biblioteka Prawnicza. Zl. 1.50.

KALINOWSKI K. inż.: Jak naprawiać i utrzymywać budynki. 4 ryc. 8^o str. 48. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zl. 0.90.

KRUIF de P.: Walka nauki ze śmiercią. Przełożył P. Lamowa i dr. Z. Grabowski. 8^o str. 386 z 16 ilustr. Warszawa, 1934. Trzaska, Ewert i Michalski. Zl. 15, opr. Zl. 18.

KRYŃSKA E.: Krótkie wskazówki dla hodowców jedwabników, wyd. 2-gie. 8^o str. 23. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zl. 0.50.

dzieci, ale się sama przelekła bo zauważyła że stał się wypadek. Zatelefonowała po pogotowie i przyjechało ale mnie ocuciła a tatósia nie, więc pogotowiem przyjechała trupiarka i zabrała tatósia. Za rok znów mi brat umarł i teraz poszedłem do jednej pani, ta pani zapłaciła za wszystko i ja tam byłem też, i otęci pani ucieklem i pojechałem na gapę kolejo. A jaby chciał być malarz i pojechałem do gdyni, a z gdyni do poznania a z poznania do Warszawy aż Warszawy do Pogotowia. A co chciałbym dalej robić, to moja tajemnica“.

Inni też napisali o sobie.

Rysiek drobniemi literami tak: „Urodziłem się w 1923 roku dnia 6 listopada. Ulica Żytnia 45. Mam 11 rok. Ojciec zajmuje się jako urzędnik a matka była młotszą. tatús zawsze pił wódkę i mama porzucała i miałem ojczyma który był niedobry i się kłócił. Mama nie mogła wytrzymać i ztego wszystkiego zahorowała na ściepe kiskie i umarła dn. 29 września 1933 roku i potem dostalem się do Pogotowia. Chciałbym bardzo być lotnikiem. Koniec“.

A znów Zygmunt porządnie i równiutko:

„...gdę skończy szkołę mam zamiar uczyć się w wyższych szkołach i później być doktorem medycyny, albo w wojsku jakim starszym. A jeżeli moje zamiary skoncza się na niczem więc będę rzemieślnikiem. A jak mi będzie w życiu źle to wstąpię do zakonu i tam dokonczę swęj żywot. Takie są moje zamiary“.

Tak napisał Zygmunt.

O całym swoim życiu Stasiek

własnymi słowami napisał:

„Urodziłem się w Warszawie na ulicy kawczyński dnia 21/IV 1920 roku. Byłem w domu, było mi dobrze. Mama robiła w barze, a tatús na kolei prostym robotnikiem. Unas było 6 dzieci ale w krótkim czasie Mama mnie umarła w r. 1926 i wtedy ojciec zaczął pić. Kiedy dostał wypłatę to wszystko przebił, ot nie mieliśmy za co żyć, to moi bracia poszli kuriera sprzedawać a ja i mój brat zostali w domu, ale jak moi bracia przynieśli wypłatę to ojciec zabrał i poszedł do knajpy, to jeden brat najstarszy poszedł do stolarza i acyli się roboty stolarskiej i oja to rozłożyło i wypędził z domu. Ale za parę dni oja wydalili to nam była bieda i ojciec mnie wygnął, ja się tulałem prawie rok, to poszedłem na rolę odnieść pakunek żeby zarobić na obiad, nierz dało się odnieść a nierz nie. Przyszłem z policjantem tutaj, taki koniec mojego wędrowania. I mój zamar jest dalej zostać szoferem“.

O ojcu. O tatuniu niegodziwym.

Czesiek nic nie napisał. Co miał pisać? Wiadomo przecież jak było. Na wsi wieszali. Brat był — Franek. Do bandy przystał. Do Muchy. Sławny Mucha. Wszyscy się go bali. I nie kaźdego przyjął. Egzamin trzeba było zdawać. Franek zdawał. W takiej wielkiej księdze spisane wszystkie. Jak kraść. Jak zabijać. Z tego sie Mucha pytał. Jak na księdze napadli — brat tysiąc złotych z podziału dostał. Tęraz w krenalnie siedzi. Jego, Czeska, posterunkowy do Pogotowia przywiózł. — Co miał uciekać? Z Pogotowia do zakładu dla chłopaków oddali. Jest tam. W orkiestrze na trąbie gra. I jakżeby już tak dalej bez grania. Zostanie. W orkiestrze. A dyrektora i opiekunkę przychodzi odwiedzać. I popatrzy jak się tu dzieciaki bawią.

— Boicie się czarnego luda?

DZIEWCZĘTA

W drugiej stronie ogródka — dzieciaki mniejsze i dziewczęta. W ławkach białych, sosnowych siedzą. Czytają głośno. A jak nie, to w kółko chodzą, za ręce się trzymają. Śpiewają o kwiatkach.

— Jak ci na imię?

— Maniusia.

Rzęsy takie długie opadają na piegawate policzki. Pięć lat ma. Widziałas kwiatki? Zrywałas?

Jakżeby nie. — Za Jabłoną, dom był. Domu niema. Komornik przyszedł. Mama krzyczała. O rany, ludzie. Pod szopą siedzieli z mamą. Policjant przywiózł Mafkę. Tu. Tu — dobrze. Mama przychodzi. Pierwszego. Jak z obowiązką puszcza.

Chodzi obok Maniusi w kole Janinka. Chodzi i śpiewa. Znow się warkocze rozplotły. Janinka nie da ich obciąć. Tylko ciągle z rozpuszczonymi by latała. Jak nie widzą — to sama rozplata. Tak ładniej. Ma chyba ze cztery lata ta Janinka. — Nie, ma sześć. — W domu mama włosy czesała. Albo ciocia. Wychodziły z domu. Ciągłe wychodziły. Panowie przychodzili. Krzyczeli, wódkę pili. — Mama chorowała. — Tyle wódek, tyle. Z facetami — pić. I bez facetów — pić. Z drugiego piętra na podwórze — nie wysoko. — Żeby w tem zimnem grobie. — Pogotowie na Górczeskie, pod piętnasty pojechało.

I jeszcze inne dzieciaki w kole chodzą, w szewczyka się bawią. I Czarosław, co to go mama pod rzucała. I Jurek, i Ala. Siedzia tato dawniej był. Na dzieci zaniewiedział. I policjant dzieci zabrał. — Bo w domu nie było co jeść.

Już o wróbelku, o krasnoludkach prześpiewane. Kto chce się bawić lalką? Wszystkie dziewczynki. Najwięcej Heńka. Taka wysoka. Dziesięć lat ma, a każdy się dziwi i mówi, że chyba ze dwa naście: — Henia, przykład dobry dzieciom dawaj, grzeczna bądź — tak mówi opiekunka. Henia daje dobry przykład. Opiekuje się temi małemi, i nigdy już niema mowy o tem, co było kiedyś, zanim tu przyszła. Nigdy o tem. Nigdy o tej Adeli, co namówiła, co chłopaków sprawadziła. Do piwnicy.

— Nie bój się głupia. — Tak d Heński mówiła. Bo Heńka sama toby za nic. Tylko ta Adela to — taka.

NIE ZAWSZE ZE ŚLUBEM

Teraz — lalka do zabawy. Lalkę wydać zamąż. Żeby z weselem z welonem. Panna młoda.

Ze ślubem? Nie, nie zawsze jest ze ślubem.

„moja matka nie była zamężna — tak pisał Wicek — ale mojej matki siostra była zamężna we wsi Szelach i potem pojechał mąż tamtej siostry i chciał żeby moja matka ślub zim wzięła i pojechała do ślubu ale Bacuszek niechciał ślubu dać bo moja matka była starsza od siostry to

wszędzie jeździł i nigdzie nie dala ślubu to oni tak żyli bez ślubu, to matka 2 lata pobyła, zobaczyła że on wutkę pije i zabrała mnie i poszła“.

Nie dobrze, nie dobrze na wiarę żyć.

Ala lalczyne wesele być musi.

Lalka nazywa się Fredzia. Na pamiątkę po jednej dziewczynce, co była w Pogotowiu. Tę Fredzię, to wszystkie dzieciaki lubily. Taka już była.

HISTORIA FREDZI

„Moje życie jest przykre — napisała o sobie — moja mamusia żyła z tatusem 12 lat, mój tatús zajmował się szewstwem a moja mamusia chandlem. Raz tatús zawiózł do Kupca robotę i dostał wypłatę, to my nie mieliśmy co jeść a tatús poszedł i stracił te pieniądze i już nie przyszedł do domu. Tatúsia brat powiedział, że on wyjechał do Wolomina, jak mamusia sie o tem dowiedziała to sobie inaczej już rozmyśliła, nareście dostała sie do dobrołina. Pracowała tam dwa lata a po dwóch latach tatús sie zgłosił, kiedy sie tatús dowiedział, że mamusia pracuje przychodził do mamusi, ale mamusia nie chciała sie zejść więc tatús zaczął chodzić do fabryki i nalepiać kartki, nareście nadeszła redukcja a mamusia zredukowały to dzieci zaczęły prosić mamusię, żeby mamusia sie zeszała z tatusem. Nareście sie mamusia zeszała z tatusem i zaczęła znów pracować do spółki z tatusem. Kiedy mamusia pożyła z tatusem rok i 3 miesiące tatús zaczął pić wódkę a kiedy nie mieliśmy w ten dzień co jeść, to tatús poszedł i stracił pieniądze i już więcej nie przyszedł. Mamusia oczekiwała blisko 6 miesięcy, tatúsia nie było widać a kiedy już przeszło 6 miesięcy mamusia sie mordowała jak tylko mogła, wysprzedała wszystkie rzeczy co tylko miała, nareście wszystkie rzeczy wysprzedała, już więcej nie miała to poszła do Komisariatu zameldować, że nas zostawi na ulicy. Kiedy napadła eksmisja mamusia poszła na krakowskie pod N-o 60 i tam nas zostawiła. Byliśmy tam jeden dzień w komisariatu i policja nas przyprowadziła tutaj do tego zakładu, a w tym zakładzie jest bardzo dobrze“.

Taka była historia Fredzi.

Dziewczynki.

A tą lalką Fredzią to wszystkie chcą się bawić.

I Helka też.

RĄCZKA HELKI

Helka dorozką jechała. Z policjantem, do Pogotowia dla dzieci. Bo na ulicy płakała.

— Dlaczego Helka płakała?

Tata kazał. Na rękę trzymał i kazał płakać. Żeby głośno. A jak nie płakała—to rączkę wykreczał. O, tak brał i wykreczał. Żeby więcej płakała. I tak tata wtedy mówił:

— Ludzie kochane, mam żone umierające z dziecku.

Tak się tatús „starał“ na ulicy. I ludzie dawali. Dużo dawali. Codzień się „starał“. Raz na Zoliborzu. Drugi raz na Wielkiej. Albo na Sosnowej. A przedtem u Jana Bożego chorował.

W domu — mama. Bila. Krzyczała. Kłóciła się. Niby z Helką. O mieszkanie się kłóciła. Bo mówiła tak — że trzeba się stąd wyprowadzić. A potem zaraz na Helkę. — A ty taka. Helka ma sześć lat.

— Kochasz mamę? — Nie. Do domu — nie. Tu zostanie. Tu lepiej. W domu spała w nogach, w łóżku. — Pehly gryzły. Tata przez sen kopał.

— Wykapałam się tu we wannie. O, koszulki dostałam, majteczki.

Prawdziwe są, białe, zapinane. I sukienka. Barchanka. I buty, i podwiązki. Podwiązki — najpiękniejsze. Z gumki. Zielonej w kratkę. Własne. Zupełnie własne. Przedtem nigdy w życiu podwiązek nie było.

— I w łóżku spałam. We własnym. Sama. Pod kocem. Ciepłusko.

I dziś będzie spanie pod kocem. W nocy—Leż ściervo—tata kopnie. Nie, to już nie. To nie baraki. To się tak śniło. Tylko śniło. I rano będzie — śniadanie. Kawa w fajansowym kubku. Chleba można nadrobić do kawy. Dużo. A potem — słońce i pogoda. I do ogrodu Helka idzie — do ogrodu.